



Spis treści

Prolog 7



Przygotowania do podróży 8



Część I *Przez pustynię* 22

Pierwsze 2000 kilometrów 24



800 kilometrów saharyjskich bezdroży 76

Ostatnie 400 kilometrów Sahary 110



Część II *Przez sawannę i las równikowy*

132

Przez sawannę w północnej Nigerii 134

W północnym Kamerunie 180



Jaunde i góry zachodniego Kamerunu 208

Duala i lasy wschodniego Kamerunu 236

W poszukiwaniu Pigmejów 266



W drodze do Sudanu 287

Przez południowy Sudan i Ugandę 320

Powrót do Europy przez Sudan i Egipt 354

Epilog 394





*Odpoczynek,
by wyprostować
zgrabiłe dłonie.
Na takie warunki nie
byłem przygotowany.
Śnieg! Wiatr! Zimno!*

mężczyźni. Łaźnia dla kobiet działa w inne dni i wtedy mężczyźni nie mają tam wstępu. Kobiety raczej same nie podróżują, a jak z mężem i rodziną, to nie nocują w hammamie. Nie wiem, jak sobie radzą, gdy w mieście nie ma hotelu. Hammamy są w każdym algierskim miasteczku. Nie są to jednak moje ulubione miejsca, w których chętnie spędzałbym noc, pomimo że są tanie i całkiem bezpieczne. Rano zastaję miasto w śniegowym błocie. Kilkanaście centymetrów śniegu, który teraz gwałtownie topnieje. Ubranie i buty wciąż mokre, ale nie ma rady, muszę ruszać dalej. Na szosie śniegu wciąż jeszcze dużo. Jest ślisko. Samochody nie radzą sobie nawet na łagodnych podjazdach. Ciężarówki nie mają łańcuchów, a ich letnie opony, często bez bieżnika, zupełnie nie nadają się na te zimowe warunki w górach. Gdy widzę, jak potężna cysterna powoli ześlizguje się na błocie pośniegowym na przeciwny pas ruchu, stoję, aby zrobić zdjęcie. Zjeżdżam w dół i powoli zostawiam za sobą zaśnieżone szczyty Atlasu Tellskiego. Po paru godzinach jazdy śnieg pozostaje już tylko wspomnieniem poranka i wczorajszego dnia. Nocuję nad brzegiem jeziora (*szott*) w namiocie. Wolę swój zimny sztywny od lodu pomarańczowy domek niż gwarny, ciepły hammam.





05.02, wtorek

Dziś mam w planie Arak, odległy o 90 km. Jedzie się ciężko, jest gorąco, a dodatkowo dokucza przeciwny wiatr. Do Araku dojeżdżam dopiero o 16.30. Arak to pasmo gór i schowany wśród nich, parę kilometrów od szosy, garnizon wojskowy. Wita mnie samotnie stojąca herbaciarnia: buda z blachy, liści palmowych i trawy. Nie można się nie zatrzymać, to pierwsza taka okazja po 190 km jazdy z Ajn Salihu. Oczywiście piję herbatę. Istny ulepek. Ja już polubiłem tradycyjną arabską herbatę z dodatkiem mięty i serwowaną jako nasycony roztwór cukru w małych 100-mililitrowych szklaneczkach. Podobno Rosjanie piją z takich wódek. Często po wypiciu herbaty sprawdzam, czy na denku szklanki jest producent. Obok *made in China* znajduję także te z napisem *made in USSR*. Za pierwszą herbatę płacę, a drugą stawia już żołnierz – nie wiem, czy na posterunku, czy może czeka na jakąś okazję. Trzecią herbatę stawia właściciel tego przybytku. Dowiaduję się od niego, że 8 km dalej jest stacja benzynowa, gdzie mogę dostać wodę.

Pół godziny rozmów i pytań: skąd i dokąd jadę, o żonę, dzieci, pracę... kończy się konkluzją, że *Pologne est aussi un pays socialiste et la vie aussi n'est pas facile* (Polska to też kraj socjalistyczny i życie w nim nie jest łatwe). Granice ich świata sięgają tylko do Tam, a Czarna Afryka budzi w nich respekt. Nikt z nich w niej nie był. Po paru kilometrach mijam stację benzynową i jakieś



nędzne zabudowania niewielkiej wioski. Śpię po przejechaniu 105 km. To był dzień pełen wrażeń. Piękne wydmy, góry i postój w herbaciarni dobrze mnie nastroiły na dalszą drogę.

06.02, środa

Przed wyruszeniem wykonuję drobną naprawę przy rowerze. Znalazłem luz w piaście i dokręcam konus w przednim kole. Ruszam o 7.30, a po 50 km robię pierwszy odpoczynek, ale dopiero po 100 km oddaję się pełnemu relaksowi. Odpoczywałem całą godzinę. Po 40 km skończyły się góry i mam przed sobą najpiękniejszą jak dotąd część pustyni. Widzę pofałdowaną równinę z niezbyt odległymi górami, a także licznymi pojedynczymi skałami. Piasek twardy z kamyczkami, a wygląda jak brunatny piach zmieszany ze żwirem. Kamyki są czarne i brązowe, ale raczej ostre. Po 150 km staję na nocleg. Wolę jechać sam. Towarzystwo Yoko było urozmaicheniem, ale z czasem stawało się trochę męczące. Chyba nie jestem konsekwentny w swoich odczuciach. Jestem już ósmy miesiąc poza domem i czasami dopada mnie samotność. Gdy obozowaliśmy razem, czułem się bezpieczniej, a jednak na dłuższą metę moja natura samotnika zwycięża i towarzystwo innych zaczyna mi ciążyć. Pomimo to zastanawiam się, gdzie jest Yoko. Musiał mnie minąć pierwszej nocy, jeżeli rzeczywiście jechał nocą. A może i ja go minąłem w dzień, kiedy spał gdzieś za skałą.

Herbaciarnia w Araku. Obowiązkowy postój, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie mogłem napić się słodkiej arabskiej herbaty w drodze z Ajn Salihu do Tam



Jak nie znalazłem żadnego wraku samochodu, to kładłem rower na płasku



wszystko to dobrze mi zrobiło. Yoko ma nade mną dwa dni przewagi. Wyjechał w dzień mojego przyjazdu. Bez problemu podbiłem paszport. Robię herbatę na jutro. Woda siarkowa jest ohydna, ale po przegotowaniu siarkowodor się ulatnia i jest OK. Pelen dobrych myśli, idę spać. Assamaka to miła dziura: cztery drzewa, fort ze stacjonującymi kilkoma żołnierzami i wystająca z ziemi na metr półtoracalowa rura, z której leje się bez przerwy strumień siarkowo-dorowej wody. Wokół tworzy się błotko, a że naokoło sam piach, to parę metrów dalej jest już sucho. Niedaleko rury skupia się miejscowe życie towarzyskie i rozlokował się dziki kemping.

26.02, wtorek

Wstaję przed wschodem. Czas w Nigrze trzeba liczyć już godzinę do przodu. Gotuję wodę na resztkę labnaminy i parę daktyli. Dobrze, ale mało! Pakuję się i po godzinie ruszam.

Z zapasem wody i nadzieją na sukces, że jednak uda się przejechać. Od początku jest ciężko, pcham rower, a podejmowane próby jazdy kończą się fiaskiem. Tylko miękki piach. I tak parę godzin męczę pierwsze 5 km za Assamaką. Później trochę lepiej, z kolejnych 10 km połowę jadę. A na godzinę przed planowaną przerwą zdarza się coś niebywałego, przejeżdżam 15 km po twardej ścieżce. W południe spotykam Francuzów, którzy jadą volkswagenem. Odnoszę spory

sukces lingwistyczny, bo udaje mi się im wytłumaczyć, że w IGZ można dostać daktyle. Dowiedziałem się o tym od Włochów jadących simką, jak już minąłem IGZ. Daję im 10 DM i proszę, by kupili mi daktyle i przekazali je turystom jadącym przez T–I. Kolejny wrak przy szlaku staje się miejscem odpoczynku. Zjadam niemiec-ką konserwę bez podgrzewania i zapijam wodą. Staje przy mnie ciężarówka. Gramolę się z cienia. To grupa Anglików, która jedzie z Londynu do Kapsztadu. Gadamy przez pół godziny. Niektórzy z nich, jak mówią, zazdroszą mi przygody i niezależności. Ja też im trochę zazdrozczę: braku trosk



o zaopatrzenie i przede wszystkim Kapsztadu, tzn. planów przejechania całej Afryki. Ale prawdę mówiąc, to wcale bym się z nimi nie zamienił i nie zrezygnowałbym ze swojej niezależności. Dostaję pół tabliczki czekolady, którą zaraz zjadam, oraz podwójny chleb z Tam i pomarańczę. Po takim spotkaniu humor mi się poprawia. Mówię sobie, że nie mogę być głodny po normalnym śniadaniu i królewskim lunchu. Yoko podobno wyprzedza mnie o 20–30 km i jest bardzo zmęczony. Trochę mi się to nie zgadza, wyjechał przecież dwa dni wcześniej. Albo to nieprawda, albo pista jest tak zła, a może coś z nim nie tak? Znów właściwie tylko idę. O zachodzie mijają mnie Holendrzy i mówią, że jestem na 38. km. A więc nie jest najgorzej, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę początek tego dnia. Suguski wyśmienite. Robię jeszcze 2 km do okrągłych 40 km. Śpię na zupełnie otwartym terenie. Wiatr cichnie, ale na wszelki wypadek rozbijam namiot. Na obiad jarzynowa i pół chleba, który dostałem od Anglików. Mam za sobą ciężki dzień, nie mogę zasnąć. To mój pierwszy dzień na terytorium Nigru. Rozpocząłem nowy etap swojej podróży.

Granica algiersko-nigryjska. Posterunek Assamaka. Przejazd obowiązkowy. A jakby ktoś nie wiedział, to jak widać, tędy prowadzi droga krajowa (RN) nr 8...

ZGUBIONY SZLAK

Ślady kół i jeszcze raz ślady kół... i wszystko byłoby OK, gdyby samochody jechały w większości jedną szeroką na kilka metrów pistą. Ale bywało i tak, że ze szlaku pełnego świeżych śladów co jakiś czas któryś odchodził w bok. Taki ślad mógł oznaczać wszystko: wycieczkę w pobliskie góry, zjazd ze szlaku na nocleg, poszukiwanie lepszego wariantu trasy. Trudno mi było na nich polegać. Czasami świeże ślady wracały. Ale jeśli nie wracały, to wtedy musiałem szukać głównej pisty. Przejeżdżający samochód, widoczny w oddali słupek pozwalały złapać orientację i wrócić na uczęszczany szlak. Zdarzyło mi się, że dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że na szlaku, którym jadę, są tylko stare ślady, a nie ma nowych. Nie pamiętałem już, jak długo poruszałem się starym szlakiem. Pół godziny, a może więcej? Oczywiście najprościej byłoby wrócić po śladach. Taką ewentualność jednak odrzuciłem. Wracać i stracić może parę godzin? To byłoby zbyt dołujące. Kontynuowałem jazdę, ale już bardzo powoli, a przy tym uważnie się rozglądałem i nasłuchiwałem. Łatwiej było usłyszeć samochód, niż go zauważyć. Jak to dobrze, że nie musiałem wypatrywać cichej karawany wielbłądów! Nasłuchiwanie było bardzo dobrym pomysłem. Po jakimś czasie wyjeźdzonego nastawiania uszu cichutko doszedł do mnie, gdzieś z bardzo daleka od wschodu, szum silnika ciężarówki. Zatrzymałem się i przez 150-milimetrowy teleobiektyw zacząłem przeczesywać pustynię. Teren na wschodzie był położony niżej, co dawało mi doskonałą widoczność nawet na parę kilometrów. Po paru minutach takiej penetracji terenu usłyszałem, jak dźwięk narasta i staje się intensywniejszy. Wkrótce też udało mi się wypatrzeć poruszający się punkcik. Samochód był daleko, 3, a może więcej kilometrów. Ruszyłem z rowerem w jego kierunku i po godzinie byłem już na głównym szlaku.



01.03, sobota

*W poszukiwaniu
świeżych liści kozy
wejdą na każde
drzewo.
Czy potem skaczą?
Nie wiem.
Ja widziałem,
jak zgrabnie zeszły
po pniu i żadna nogi
nie złamała*

Budzę się przed świtem. Jem resztę zimnych klusek z mlekiem, piję herbatę i przegryzam daktylę. Żwawo ruszam zaraz po wschodzie, ale to za dużo powiedziane, bo znów częściej prowadzę niż jadę. Rano spotykam Tuaregów. Chcą papierosów, cukru... Dzielę się z nimi tym, co sam dostałem. Jeden z nich proponuje mi wodę z pobliskiej studni. Wody nie biorę, bo jak się dowiaduję, do I-n-Abangaritu jest 10 km. Żałuję tylko, że nie poprosiłem ich o zgodę na zrobienie zdjęć. Dopiero dwie godziny przed zachodem słońca docieram do I-n-Abangaritu. To osada złożona z paru szałasów i posterunku policji. Siadam pod drzewem, obserwuję kozy wdrapujące się na koronę akacji i obgryzające liście. Zjadam parę daktyli i próbuję zrobić wpis do dziennika. Wokół mnie gromadzą się dzieciaki. Na posterunku policji dostaję stempel i mogę jechać dalej. Gdy jedzie się przez Niger, w każdej miejscowości, do której się trafia, trzeba meldować się na policji i wbić stempel w paszport. Gdy jest stempel z poprzedniej miejscowości, wtedy jest to już krótka formalność, żadnych kłopotów czy aluzji o bakszys. Biorę wodę z posterunku policji i w drogę. Zgodnie ze wskazówkami dzieciaków robię szeroki łuk, aby ominąć piach. Na obiadokolację spaghetti z sosem z zupy grzybowej. Śpię we wraku samochodu kilka kilometrów dalej.

02.03, niedziela

Śniadanie robię z resztek makaronu i mleka. Ruszam zaraz po wschodzie. Dwa razy zatrzymują mnie Tuaregowie. Raz dostają trochę cukru, ale już kolejnym razem, gdy zbyt natrączywie mnie nagabują, nic nie dają. Po 30 km trafiam na źródło z gorącą solanką. Nie nadaje się do picia. Obok rozłożyła obozowisko rodzina tuarecka. Zapraszają mnie na herbatę i jakieś żarcie. Biorę kąpiel, robię małe pranie. Jem makaron z pomidorami, chili i chlebem ich wypieku. Bardzo mi smakuje. Pokrzepiony, w południe ruszam dalej. Trafiam na ślady Yoko. Strzela mi guma, szybko ją kleję, ale jeśli pięknie jeszcze raz, będę ją musiał wyrzucić. Pista bardzo dobra, jadę 20 km/h. Zatrzymuję Francuzów, którzy jadą z Konga, mówią, że do T-T mam jeszcze 25 km. Dostaję od nich bułkę i wodę. Jadący motocyklem turysta zamienia mi 5 \$ na 1000 franków CFA. Zaczynam ostro kręcić. W T-T chciałbym spotkać Yoko, a może nadarzy się okazja, aby zjeść coś u Japończyków? W mieście jest siedziba firmy japońskiej. Ale tu spotyka mnie rozczarowanie. Tuarecki strażnik nie chce mnie przepuścić ani nie chce zawołać żadnego Japończyka. Chyba nie rozumie po francusku... Kręcę się z godzinę przed bramą, aż w końcu wyjeżdża samochód. Zatrzymuję go, ale nie za bardzo chcę ze mną gadać, śpieszą się. Mówią, że o Yoko nic nie słyszeli i żeby przyjść jutro. Od Nigeryjczyka mieszkającego w pobliżu dostaję chleb i puszkę skondensowanego mleka. Odwzajemniam się papierosami i gumą do żucia. Śpię 2 km za T-T tuż przy piśmie. Jem daktylę i przygotowuję mleko z bułką na śniadanie. Smaruję łańcuch i idę spać. Był to bardzo dobry dzień, udało mi się przejechać 75 km.

*Posterunek policji
w I-n-Abangaricie
i policjant, który
podstemplował
mój paszport*



Zszywam galabiję, rozdarłem ją rano, gdy się przewróciłem. Nie wiem, czy dotrwa do Zinderu, niedługo będę musiał ją chyba wyrzucić. Spory ruch samochodów, dużo cystern lokalnej firmy paliwowej SNTN. Turystów jak dotąd niewielu, trzy samochody jadące od strony Agadezu. Częstym widokiem są za to stada wielbłądów i kóz. Mijam poukładane na poboczu sęki drewna opałowego. Dziś jest mniej gorąco, ale w powietrzu unosi się dużo pyłu. Suszę owady złapane dla Romana. Żuk złapany na 314. km od Zinderu jeszcze żyje, wieczorem będę musiał go uśpić, teraz nie chce mi się wyciągać trutki. Udaje mi się trochę odpocząć, a potem robię jeszcze 13 km i na 216. km przygotowuję sobie nocleg. Dostaję około 4 litrów wody od Tuaregów. Nie mówią po francusku, daję im na pamiątkę gumkę do włosów. Odprowadzają mnie do drogi tak szybko, jakby chcieli, abym natychmiast zniknął im z oczu. Płacenie za wodę ewidentnie zostało źle przyjęte. Na obiad gotuję makaron i do tego wrzucam suszone pomidory i dwie kostki maggi. Wyszło coś gęstego, ale ostatecznie dało się zjeść. Robię 2,5 l herbaty i ryż na śniadanie.

15.03, sobota

Pompuję tylne koło i w drogę. Jest bezwietrznie, ale droga kiepska. Po 6 km studnia, przy której kręcą się tylko osły. Nie ma czym zaczerpnąć wody. Chciałem odpocząć na 195. km, ale nie znajduję dobrego miejsca, za to widzę niezły zjazd w dół, a w oddali kępę drzew. Okazuje się, że to Takoukout na 191. km. Obstępuje mnie dzieciarnia. Do dającego ukojenie cienia zaprasza mnie Nigeryjczyk. Rozmawiamy po angielsku, okazuje się, że jest właścicielem cysterny z Lagosu, i zaprasza do siebie. Może da się coś zjeść? Dom to mały tukul o średnicy 3–3,5 m i wysokości na 2 m, w którym jest miejsce na dwie duże maty. Odgrodzony jest glinianym murkiem od

*Fulanie
z bydłem
przy studni*



ulicy i trzcinowym plotem od sąsiadów. Takoukout sprawia wrażenie przyjaznej osady. Do Tanoutu jest 49 km, do Zinderu 160. Tak jest według informacji miejscowych, bo według mapy do Zinderu jest 217 km, a według słupków 191 km. Kupiłem placki za 75 CFA, trochę położyłem, zrobiłem zdjęcia zabudowań, studni z wołami wyciągającymi wodę. Dałem dwie aspiryny matce chorego dziecka, a zaraz potem inni zaczęli mnie ciągnąć o leki na uszy i oczy, ale im już nie mogłem pomóc. Przy drodze budują meczet. Robotnicy poczęstowali mnie potrawą o nazwie *fura*, która wyglądała jak niedogotowana mąka, czy płatki z mlekiem. Dobre to nie było. Na południe od Agadezu za wodę czasami należało płacić, a ja nigdy nie wiedziałem kiedy. Tutaj jeden z mieszkańców poproszony o wodę wziął ode mnie kanister i napełnił go. Chciałem dać mu 5 CFA, ale nie przyjął. Dwa kilometry za osadą zrobiłem sobie przystanek na herbatę. Chwilę później zatrzymał się samochód i przysiedli się do mnie turyści, byli to Szwajcarzy z Berna. Popijając herbatę, długo rozmawialiśmy. Dostałem od nich w prezencie puszkę mleka w proszku. Nocuję 5 km za Takoukoutem. Dziś zrobiłem tylko 30 km.



*Byk wyciągający
wodę ze studni*

*Teraz zamiast Tuaregów
z wielbłądami spotykam
Fulanów z bydłem*





Targ w Little Gombi



lifta. Zatrzymuję się w wiosce Hong 25 km od Little Gombi. Widzę Secondary School i zaczepiam jakiegoś ucznia, by mnie zaprowadził do nauczyciela. Liczę na nocleg w budynku szkolnym. On prowadzi mnie do... Kanadyjczyków. Dostaję zimną wodę. Proszę o możliwość noclegu na werandzie i dostaję takie pozwolenie. Przed wieczorem jeszcze jadę do sklepu po chleb i objeżdżam mały, ale ładnie położony Hong. Wieczorem gotuję makaron na mleku i idę spać.

*Kobieta
z emalowanym wiadrem
made in China*

Na targu w Little Gombi

*Powrót z targu
do domu*



10.05, sobota

Rano cena zwiedzania spada do 500 CFA. Za tyle oferuje zwiedzanie Sari jakiś inny z synów szefa. Drogo, ale to chyba największa atrakcja turystyczna w północnym Kamerunie! Śpię za darmo, więc decyduję się na zwiedzanie. Wódz ma 45 żon. Każda z nich ma sypialnię, kuchnię i dwa spichrze. Wódz ma dwie sypialnie na parterze i na piętrze. Domki mieszkalne mają około 2,5 m średnicy, spichrze 1 m. Są przykryte spiczastymi dachami. W niektórych miejscach przestrzeń między domkami przykryta jest płaskim dachem. Domki nie są rozlokowane na jednym poziomie, lecz na zboczu. W sypialni szefa są małżeńskie łoża. W tej na górze na ścianach wisi parę zdjęć – portretów: Giscard d'Estaing, Jan Paweł II, Helmut Schmidt i jacyś politycy kameruńscy. Cała Oudjila liczy 9800 mieszkańców. Po zwiedzaniu śmiało mogę powiedzieć, że to najpiękniejsza wioska Afryki! Potem ruszam dalej. Pierwsze, co łapię, to guma w tylnym kole.

Parę kilometrów dalej puszcza przód. Spotykam kobiety idące po wodę. To jeden z ich najcięższych obowiązków. Mieszkają na szczytach wzgórz, a woda jest w dolinie. Pokonują duże odległości w pionie i poziomie. Są uśmiechnięte i pozdrawiają mnie. Podjeżdżam do studni i korzystając z ich pomocy, uzupełniam zapas wody. Inaczej bym sobie nie poradził. Tu, przy studni, nie ma żadnego żurawia czy kołowrotu z wiadrem. Trzeba mieć własne naczynie i linę. W takich studniach za naczynie często służy kawałek starej opony samochodowej. Kobiety używają metalowej puszki. Moja nieporadność w nabieraniu nią wody budzi wesołość. By nabrać 3 litry wody, opuszczam puszkę sześć razy! A studnia ma około 5 m głębokości. Robię kilka zdjęć. Zrobiłbym chętnie dużo więcej, ale nie

zostało mi już dużo filmów. A tu nie kupię ORWO UT 18 za wschodnie marki... ani Agfy za dolary. Kobiety noszą wzorzyste i kolorowe kawałki materiału owinięte wokół bioder. Czasem okręcają go wyżej, zakrywając piersi. Dawniej nie noszono żadnych ubrań. Ludzie mieszkający tu byli zbyt biedni. I chociaż nocami robiło się dość zimno (małe, ale to jednak góry!), to obywali się bez ubioru. Teraz się ubierają, szczególnie mężczyźni. Raz widziałem zupełnie nagą kobietę pracującą w polu. Gdy podjechałem trochę bliżej i mnie zauważyła, szybko podbiegła kawałek i okręciła się kawałkiem szmaty leżącym opodal. Jak mi później wyjaśniono, zupełnie nie z powodu zawstydylenia się swoją nagością, lecz ze strachu! Okazuje się, że rząd kameruński z Jaunde skutecznie walczy z nagością i karze mandatami, jeśli urzędnik czy policjant zobaczy kogoś bez ubrania. Rząd uważa nagość za przejaw zacofania i w ramach podniesienia poziomu cywilizacyjnego kraju zabrania obywatelom chodzenia nago. Ta kobieta po prostu się bała,

*Wioski ludów
nazywanych Kirdi
po drodze z Mory
do Mokolo*



*Zabudowania
i tarasowe pola*



31.05, sobota, 5360 km

Ruszam zaraz o świcie. Dalej wspinaczka pod górę. Po godzinie guma w przednim kole. Wystająca szprycha przetarła dętkę. Nie bardzo udaje mi się je spiłować. Te najbardziej wystające dodatkowo zaklejam taśmą. Wymuszony postój wykorzystuję na ugotowanie herbaty. Do niej mam puszkę sardynek i resztę przedwczorajszego chleba. Dopycham banankami (siedem małych za 10 CFA). Następny postój na targu w Bangau.

To duży targ ze sprzedawcami i kupującymi z sąsiednich wiosek. Musiałem trafić na dzień targowy. Można tu kupić banany, orzeszki ziemne (surowe), fasolę, kukurydzę, maniok, jam, ananasy, owoce bababu, jakieś duże orzechy, orzechy palmy oleistej, olej, wino palmowe, inne nieznanne mi z nazwy warzywa i orzechy. Jest oczywiście też mięso, suszone ryby, kozy. Jest drogeria i trochę ciuchów, ale niedużo. Zdecydowanie dominuje żywność, a właściwie warzywa i owoce.

Zdjęcia robię bez większych problemów. Kupuję na drogę banany (pięć za 10 CFA). Jedzie mi się dobrze. Czuję się najedzony, wręcz nażarty. Droga niezbyt trudna. Dalej trochę pod górę, ale nie najgorzej. Nie śpieszę się. W południe jestem na asfalcie na głównej szosie do Bafoussamu. 15 km przed miastem staję na odpoczynek. Jem banany i robię notatki. Od Tongi krajobraz się zupełnie zmienił. Wyjechałem z lasu równikowego. Jadę wśród pastwisk, wśród wzgórz, pól i plantacji. Kawa, maniok, kukurydza, fasola, bananowce. Często na jednej plantacji kilka różnych upraw, na przykład kawa i ananasy. Przy drodze rośnie sporo drzew. Domy jakby bogatsze i porządniejsze. Dużo murowanych, wręcz willi. Rzadko widzę strzechy. Przeważają blaszane dachy. Na plantacjach i na drodze widać więcej ludzi. Wiele idzie piechotą i to mnie nie dziwi. Na autobusie zobaczyłem taryfę za przejazd. Wychodzi około 700 CFA za 100 km. To bardzo drogo dla zwykłych Kameruńczyków. Od razu przeliczam sobie, ile oszczędzam, jadąc rowerem. Gdybym z Algieru jechał takim autobusem, to kosztowałoby mnie to prawie 200 dolarów... Co bym wydał na przejazd, to zaoszczędziłbym na jedzeniu, bo podróż byłaby dużo szybsza. Ale czy ciekawsza..?

Jadę wśród zielonych wzgórz jak daleko wzrok sięga. Wszędzie widać prostokątne domy z dachami pokrytymi ocynkową blachą. Przy drodze jest ich więcej. Praktycznie jadę już w szpalerze domów. Pogoda dobra. Nie ma upału. Słońce i chmurki. Ludzie czasem mnie pozdrawiają, ale nie przystają jak w górach w północnym Kamerunie. Czasami w odpowiedzi na pozdrowienie słyszę coś jakby *n'aha*. Zupełnie nie wiem, czy to coś znaczy i czy dobrze to usłyszałem i zapisałem. W części frankofońskiej było jednak prościej – *Sa wa, sa wa bié* (*Ça va, ça va bien*) i po kłopotach z uprzejmościami.

Na targu w Bangau



Sprzedawczynie racuchów

16.06, poniedziałek, 6200 km

Ruszam o 7.10 po śniadaniu u głównego menedżera. Polacy już pracują. Pożegnaliśmy się wczoraj. O ósmej jestem w Edei. Za Edeą łapię gumę, a po godzinie następną. Pada lekki deszyk. Obcinam jeden drut i zakładam oponę, którą dostałem od Amerykanina. Wydaje się, że jest OK. Po drugiej gumie jem cztery banany, a potem kupuję dwa kokosy po 30 CFA. Dopiero na krzyżowce mogę zjeść coś konkretnego. Kupuję chleb i ryż. Mam zupy, więc mogę przygotowywać posiłki sam. Obżeram się na zapas kanapkami i szukam plaży, którą opisał mi pan Lutek, jeden z pracowników Fampy. W końcu ląduję niedaleko plaż komercyjnych Bel Air i Cocotier, 3 km przed Kribi. Rozbijam namiot bezpośrednio na plaży obok wielkich pni drzew wyrzuconych przez morze. To pewnie pnie ścięte gdzieś daleko w lesie i spławiane rzeką, które w czasie burzy urwały się i niekontrolowane dotarły do oceanu. Leżą tu, bo to za duży wydatek, by je stąd ściągać. Gotuję tylko herbatę i przez nikogo nieniekajony, idę spać.

17.06, wtorek

Rano mgliście, później się przejaśnia. Dziś dzień leniwy. Plażuję. Jest pusto. Zajmuję się znalezionymi na plaży orzechami kokosowymi. Rozbijam dwa, a nie jest to takie łatwe bez wprawy. Wcześniejsze podglądanie miejscowych nic nie dało – oni otwierali kokosa jednym ruchem maczety. Ja nie mam maczety, a nawet gdybym miał, to prędzej bym sobie uciął rękę, niż otworzył kokosa... Jeden z wyrzuconych przez ocean kokosów jest dobry, drugi zgniły. Ten dobry był tak dobry, że otwieram też oba kupne i je zjadam. To dość ciężkie uzupełnienie posiłku z ryżu na mleku i nie pozostanie bez konsekwencji. Zabieram się do przeglądu roweru. Najpierw reperuję trzy dętki. Trzecią gumę złapałem wczoraj, jak dojeżdżałem do plaży. Potem

*Moje obozowisko
na plaży*



reguluję hamulce. Bloczki ścierają się w zastraszającym tempie. Na zjazdach hamuję bez ustanku, a obręcze często są ubłocone. Błoto przyspiesza zużycie hamulców i martwię się, czy z gumowymi bloczkami do hamulców nie będzie taki ból głowy, jak z oponami... Przygłębiam też uchwyt torby, która kilkakrotnie mi spadła po naprawie u Polaków w Edei. Dosztukowuję pasek i mam nadzieję, że teraz będzie dobrze.

18.06, środa

Znów ładnie, ale ja rano źle się czuję. Biegam w krzaki (dobrze, że są tuż obok w dużych ilościach!). Podejrzewam, że to skutek wczorajszego łakomstwa i zjedzonych trzech kokosów. Nie zaszkodził mi przecież wczorajszy wieczorny rosolek... raczej nie zdołał pomóc. Biorę trzy proszki sulfaguanidyny i w południe czuję się lepiej. Idę na spacer wzdłuż plaży i pstrykam zdjęcia. Nie odchodzę na długo, bo jednak boję się o rower i namiot z rzeczami. Oczywiście wszystko, co cenne, mam ze sobą, choć nie do końca. W rowerze w ramie pod sztycą siodełka ukryłem część pieniędzy. To na wypadek, gdyby mnie obrabowali z pasa z pieniędzmi i paszportem, który noszę na brzuchu w spodniach, a zostawili charakterystyczny rower... Ta sytuacja to dla mnie jedyny mankament samotnego podróżowania. Dlatego nie wchodziłem na górę Kamerun, dlatego nie pływam dalej niż małe kilkadziesiąt metrów od brzegu (a i tak pas z pieniędzmi zakopałem wtedy w piasku pod namiotem...), dlatego mój spacer trwał może dwie godziny. Dotarłem tylko do wioski rybackiej liczącej kilkanaście chałup. Przyglądałem się, jak kobiety reperują sieci.

Wracam do obozowiska i z ulgą znajduję swój namiot i rower na miejscu. Robię notatki i rozmyślam. Wracać czy jechać dalej? Jechać mi coraz trudniej ze względu na stan ogumienia i coraz to pojawiające się inne kłopoty techniczne z rowerem. Ale już wracać? Po co? Te koszmary



Plaża przed moim namiotem



Karmiłem małego kraba kawałkami kokosa



27.06, piątek

Rano z miejscowym chłopakiem idę na polowanie. Po 1,5 godziny ustrzelił bażanta. W każdym razie tak tego ptaka nazwał po francusku. W miejscowym języku bulu ptak nazywa się *kunduk*. Jest faktycznie podobnej wielkości co bażant, kolorowo upierzony, ale z przewagą niebieskiego. Na głowie ma czerwoną plamę. Od chłopca dowiaduję się, że poluje bardzo rzadko, a jeszcze rzadziej pudłuje. Strzela tylko wtedy, gdy jest pewien trafienia. Jeden nabój do strzelby kosztuje 200 CFA, tzn. dolara. Spudłowanie to byłaby droga przyjemność. Pytam, ile jest wart ptak, którego upolował – 1000 CFA. Pięć razy więcej niż nabój. A trzeba zarobić na strzelbę, nie wspominając o czasie poświęconym na polowanie.

Po drodze w lesie znajduję czerwone owoce wielkości naszej dużej śliwki z dużą pestką. Rosną w kiściach po około 30 sztuk, podobnie jak winogrona, ale na drzewie. Są słodkie. Je się je bez skórki. To w języku bulu owoc *saa*. Jestem pewien, że nie ma polskiej nazwy. Po powrocie znów odpoczynek – czytam, robię notatki. Oglądam miejscowy kościół wybudowany przez księdza Arnolda. Jest to najładniejszy kościół, jaki dotąd widziałem w Kamerunie. Ma wspaniałe witraże i ciekawą formę architektoniczną. Potem idę znów do lasu na spacer. Zapuszczam się dalej, z większą pewnością siebie po porannym polowaniu, ale też niezbyt daleko. Znowu czuję się ociężały i boli mnie głowa. To paludryzm, stwierdza ksiądz Arnold, nazywając tak z francuska objawy malaryczne.

Ale na malarię wziąłem już kurację, więc nic nie mogę poradzić. Postanawiam „zmienić klimat” i jechać do Jaunde.

Szalaszy
Pigmejów



Pigmejka z dzieckiem przed swoim szalasem

28.06, sobota

Rano, gdy byłem już wyszykowany do wyjazdu, ksiądz Arnold proponuje, bym jechał z nim do Oveng na granicy z Gabonem i Gwineą Równikową.

Oczywiście zgadzam się. Miałem nawet tam jechać wcześniej rowerem, ale zrezygnowałem i pojechałem prosto do Sangmelimy. Droga jest bardzo dobra. Pogoda też i szybko dojeżdżamy. Zjadamy obiad i po krótkiej sjeście jedziemy do odległego o 3 km klasztoru. To parę budynków na polanie wyciętej w lesie. Miejscowe siostry o dość surowej regule prowadzą tu szkołę i, jak mówimy z francuska, „dyspenser” (fr. *dispensaire*) – ośrodek zdrowia. Ksiądz Arnold jest zaprzyjaźniony z siostrami i bez kłopotu dostajemy pokój na nocleg. Słucham radia i cierpię po zbyt tłustym (olej palmowy!) obiedzie. Do rana po zjedzeniu paru tabletek węgla zdrowieję.

29.06, niedziela

Rano jestem na mszy w miejscowym języku fang. Ksiądz mówi w bulu i jest rozumiany. Obiad jem bez tłustego sosu i wracamy. Teraz to już naprawdę ostatni wieczór w Olounou.



Dumny Pigmej



W drodze przez las do Bambio spotykałem tylko miejscowych rowerzystów i Pigmejów



Na zdjęciu grupa Pigmejów i trzech rosyłych Afrykańczyków z plemienia z grupy Bantu. Gest oparcia się o głowę niższego Pigmeja doskonale obrazował stosunki mieszkańców wioski i Pigmejów

Zjadam kukurydzę i przed piątą ruszam w drogę. Parę kilometrów dalej urywam drugi uchwyt od sakwy i mocuję ją teraz dwoma sznurkami. Nie jest to wygodne. Sprężysty uchwyt pozwalał ją umocować i zdjąć jednym ruchem. Teraz wiążę sznurki, a sakwa nie przylega tak sztywno do bagażnika roweru i telepie się w czasie jazdy. Następną wioska jest tylko 5 km za Bounguélé, gdzie jadłem kukurydzę. Jeszcze mam około 25 km do Bambio. W wiosce nikt nie mówi po francusku, ale są bardzo przyjaźnie nastawieni. Rozumieją mnie, gdy pytam na migi o nocleg. W mąg czyszczą chatkę bez ścian i zamykają wokół niej. To ważne, bo na czystym klepisku widać każde paskudztwo, np. węża. Te zwierzęta też niechętnie wychodzą na otwartą przestrzeń, więc jest bezpieczniej, szczególnie gdy się śpi na ziemi. Robię sobie posłanie z płachty plastiku i karimaty. Do zmroku siedzę przed chatą obserwowany przez parę osób. Jestem najedzony, czuję w brzuchu te pięć kolb kukurydzy zjedzonych dwie godziny temu. Nie częstują mnie jedzeniem, to i dobrze. Nie mam problemu, że ich objadam, albo że dostanę coś niejadalnego dla mnie i będzie nieprzyjemna sytuacja. Na pewno nie mają śmiałości mnie częstować, bo nie bardzo wiedzą, czy taki biały zje cokolwiek, a wyglądają na biedną wioskę, gdzie kura to wielki rarytas. O 18.30 robi się ciemno. Kładę się spać, a audytorium znika w ciemnościach.



18.07, piątek

Rano ruszam wcześniej, bo już o szóstej. Gdy odjeżdżam, podchodzi stara kobieta i chce mi sprzedać trzy jajka. Ciężko się dogadać, na ile je ceni. Ja zupełnie nie znam ceny, bo nigdy nie kupowałem tu jajek. W dobie targu pomaga mi jakiś chłopiec, ale jego francuski jest wątpliwy. Mówi że po 10 za sztukę. Daję 30, ona kręci głową, że mało. Dorzucam 20 i dalej mało.



Mówi, że chce więcej... Niespecjalnie zależy mi na jajkach. W końcu dobijamy targu i ruszam w drogę. Na najbliższym postoju gotuję jajka na twardo, bo boję się, że je stłukę. Ale same jajka to mało, więc gotuję krupnik i zjadam z okruskami chleba. Droga jest dość dobra, tylko na niewielkich odcinkach pcham rower. O dziewiątej jestem nad fajną rzeczką. Robię sobie pranie i przy okazji reperuję spodnie. Ten postój trwa trzy godziny. W mijających wioskach i przy drodze spotykam Pigmejów. Widać wielu z nich się tu, przynajmniej czasowo, osiedliło. W lesie spotykam dwóch

Ten spotkany myśliwy pokazuje mi, jak się naciąga cięciwę kuszy. Rolnicy z okolicznych wiosek nauczyli się polować od Pigmejów i stali się ich konkurentami

Ekwipunek na kilkunastodniową wyprawę w głąb lasu na polowanie i poszukiwanie pożywienia

z pozwolenia – robię zdjęcia jej i chłopcu obok wypłatającemu matę. Chwali się, że jest uczniem liceum w Bangassou. Nazywa się David-Delphin Nguereniaka. Obiecuję mu wysłać zdjęcie na adres szkoły. Nigdy nie otrzymałem potwierdzenia, że doszło. Po następnych 15 km staję nad potoczkiem. Robię pranie, myję się, gotuję zupę z maniokiem. Zajmuje mi to prawie trzy godziny. Przed drugą ruszam i po 10 km jestem na krzyżówce do Ouango. Łapię gumę. Zmieniam dętkę akurat przed kościołem wśród tłumu gapiów. Już mam ruszać, gdy jeden

z nich pokazuje mi, że dętka wylazi z opony i robi się balon. Poważna sprawa. Klnę pod nosem i szybko spuszcza powietrze, by nie stracić dętki. Gdyby balon pękł, dętka byłaby do wyrzucenia! Znowu wylazi drut. Opona jest do wyrzucenia, ale nie mam zapasowej. Wszystkie poprzednie zapasy były nie do tych obręczy. Opona niby jest całkiem nowa, a tak naprawdę to jest stara i zleżała. Rozpada się po kilkuset kilometrach. Powinna wytrzymać 2000–3000... Nie mam innego wyjścia, jak zamienić się w krawca i przyszyć drut do boku opony. Zajmuje mi to kilkanaście minut i ponownie ruszam w drogę. Jadę szybko, by nadrobić stracony na naprawy czas i o 17.45 dojeżdżam do misji baptystów, parę kilometrów przed Bangassou. Dostaję kolację i pokój gościnny.

Po kolacji odsiaduję obowiązkowe czytanie Biblii. Na szczęście po angielsku, więc trochę rozumiem. Misjonarz opowiada o swoim powołaniu. Wszyscy są Amerykanami. Mówią szybko i z akcentem, trudno mi ich zrozumieć, ale nie proszę, by przeszli na francuski, bo byłoby tylko gorzej! Dowiaduję się, że baptyści są tu od 60 lat. Założyli tę misję w 1920 roku.

04.08, poniedziałek, 8400 km

Po sutym, jak zwykle w gościnie u misjonarzy, śniadaniu jadę do miasta. Załatwiam policję i przedłużenie wizy. Uboższy o 2000 CFA mam w paszporcie wizę do 13 sierpnia. Nie powinienem mieć najmniejszego problemu z dojazdem w tym terminie do granicy. Zapominam w tym momencie o oponie... Przychodzi mi do głowy myśl, że może to być zbędny wydatek. Od Bangui nikt nie sprawdza wizy w paszporcie. Ale kto wie, co by było na granicy? Może tylko mniejsza łapówka, myślę sobie. A może by mnie cofnęli do Bangassou??? Wjazd przez zieloną granicę byłby wykluczony. Tu jest tak niewielki ruch, że będą o mnie słyszeć już parę dni wcześniej! Na misji mówili, że na wschód w kierunku granicy z Sudanem jest bardzo mało wiosek i tylko kilka większych miejscowości i z zaopatrzeniem jest krucho. Kupuję na targu ponad 2 kg ryżu (500 CFA), chleb za 200 CFA. Udaje mi się sprzedać golarkę za 1500 CFA. To niespodziewany zastrzyk gotówki. Prawie wyrównuje wydatek za wizę! Obzerał się *poto-poto* i ruszam z miasta o jedenastej. Upał. Po 1,5 godziny staję w wiejskim kościele. Czuję się słaby. Przydałby mi się dzień odpoczynku... Z Bangassou wysłałem kartkę do cici. Ciekawe, czy i kiedy dojdzie. Ale jak dojdzie, to ciocia przekaże mamie, że żyję i mam się dobrze. Spotykam jadących „łazikami” żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Mówią, że droga do Rafai jest fatalna – oni jadą 150 km dziewięć godzin. I to na pełen gaz,

nie za bardzo oszczędzając samochód. Ja liczę, że dojadę do Rafai w dwa dni. Jestem więc tylko dwa razy wolniejszy od żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Pytają mnie o narodowość. Jak słyszą, że Polak, to od razu mówią, że mają tu też Polaka. Wołają, ale w żadnym z kilku samochodów go nie ma. Mówią, że pewnie został w jednostce. A ja sobie myślę, że był wśród nich, ale bał się ujawnić. A czy wiadomo, kto ja jestem?, pewnie pomyślał sobie. Przecież był w Legii wbrew polskiemu prawu... Niby źle mi się jechało, ale zrobiłem 53 km. To informacja od miejscowych, bo już od dawna nie mam licznika. Oni na ogół dokładnie znają odległość ich wiosek od miasta. Śpię w pustym, jeszcze niezamieszkanym nowym domu. Ludzie są bardzo gościnni. Dostaję mnóstwo bananów. Małe dziewczynka, chyba córka gospodarza, pewnie pierwszy raz widzi brodatego białego z rowerem i się mnie boi. Za nic nie chce podejść i ucieka. Dostaje za to lanie od rodziców i wujka mego gospodarza. Robi mi się jej żal. Bogu ducha winne grzeczne dziecko dostaje lanie z mojego powodu. Wygrzebuję jeszcze z zapasu moich suvenirów minilaleczkę. Gospodarz, widząc to, też się przymiła o podarek. Najchętniej bym mu nic nie dał za to bicie dziecka, ale przecież jestem jego gościem i wypada mi jednak coś dać. Łamię się więc i rano wygrzebuję portfelik na wizytówki. Nie wiem, jak mi się te suweniry jeszcze uchowały, ale teraz bardzo się przydały.

05.08, wtorek

Ruszam przed szóstą. Droga bardzo ciężka. Albo w dół, albo w górę. Kamienie takie, że trudno pomiędzy nimi manewrować. To o tym odcinku opowiadali legioniści. Kamienie nie leżą na drodze luzem. To jest po prostu nierówna skała tylko częściowo wypełniona laterytową ziemią. Kiedyś pewnie droga była równa, pokryta ubitą warstwą laterytu. Ale teraz po tej warstwie nie ma śladu, została całkowicie splukana przez deszcze. W buszu obok kamienie są jednak

Droga ze zmyta przez deszcz warstwą z laterytu była bardzo wyboista, co uniemożliwiało szybką jazdę



to będę na styk. Po paru kilometrach zauważam, że na kole znów robi się balon. Zmieniam oponę. Miała być na później, ale jest niezbędna już teraz. Po godzinie zbiera się na burzę i po chwili potwornie leje już do wieczora i w nocy. Jestem przemoczony do suchej nitki. Peleryna podarta. Namiotu nie ma gdzie rozbić. Jadę, byle dalej. Droga to jeden potok wody, ale jest nie najgorsza i daje się jechać. Prowadzę rower tylko sporadycznie. Jadę raz pod prąd płynącej drogą wody, raz z prądem. Koła zanurzone na 10 cm w wodzie, a czasem i na 20. Robi się ciemno. Już niewiele widać w ciemnościach i deszczu, gdy zauważam parę chat przy drodze. Okazuje się, że są opuszczone i nie ma tu żywego ducha. Boję się, czy w nich nie zagnieździło się jakieś paskudztwo, np. jadowite węże. Nie mam wyboru. Na drodze jest już ciemno i leje jak z cebra. Świecę latarką, hałasuję, wchodzę do ośrodka i wprowadzam rower. Zamiatam wiechciem mokrej trawy klepisko i rozkładam się do snu. W nocy coś po mnie przeszło i mnie obudziło. Świecę nerwowo wokół i na ścianie zauważam ogromnego pajaka. Ma dobre 5 cm średnicy... Zasypiam ponownie, bo bogate przeżycia dnia mnie wyczerpiły.

Tym razem ciężarówka jest górą i przejeżdża bez kłopotów przez błotnisty odcinek, gdzie mnie spotkała błotna kąpiel



09.08, sobota, 8680 km

Wstaję z oporami godzinę po wschodzie słońca. Wkładam mokre ciuchy i ruszam w drogę. Po pół godzinie jestem w wiosce Bahr. Kupuję mnóstwo bananów i się nimi obżeram. Rano jadłem tylko surowe arachidy. Wczoraj wieczorem też. Droga jest bardzo błotnista. Staję na zupe z ryżem 30 km przed Zemio. Spotykam jadącą z naprzeciwka ciężarówkę Overlander. Jadą z Nairobi. Okazuje się, że jeden z pilotów prowadził grupę, z którą zwiedzałem Park Narodowy Waza. Ucinam z nim krótką pogawędkę. Dowiaduję się, że droga z Zemio do granicy z Sudanem nie jest najgorsza, a w Sudanie aż do samej do Dżuby jest bardzo dobra. Po paru minutach rozmowy wracam do gotowania. Siedzę pod drzewem pomarańczowym i zajądam się zupe. Ubranie na mnie już wyschło, bo jest ładna pogoda i po deszczu zostały tylko złe wspomnienie i rozmoknięta droga. Ale i ona zaczyna podsychać, więc nie jest ślisko. Oczywiście kałuże i miejsca błotniste są takie same. Przejeżdżam przez most w stanie kompletnego rozkładu. Rzeka jest niewielka i samochody przejeżdżają brodem nieopodal. Droga się poprawia. Jest bardziej kamienista i nie ma wielkich kolein. Przecina mniej rzek tworzących wąwozy o stromych zboczach, które kosztują mnie dodatkowy wysiłek ostrożnego zjazdu i na ogół pchania roweru pod górkę. Nie jadę szybko. Kolejny raz zmieniam dętkę. Puściła duża łata. Znów zaczyna przepuszczać tryb. Jest to wkurzające, a czasem i niebezpieczne, bo grozi utratą równowagi, gdy zamiast przycisnąć na pedały, zaczynam nimi kręcić bez oporu i rezultatu. Przed Zemio kupuję trochę bananów na następny dzień. Na krzyżówce zjadam *poto-poto* za 50 CFA i kupuję sześć pomarańczy za 15 CFA. Miejscowe pomarańcze nie przypominają mi tych kubańskich, jakie zwykle przyplwały do Polski przed Bożym Narodzeniem i władze „rzuciły” je do sklepów, by szczęśliwcy mogli je kupić. Ja miałem okazję ich wielokrotnie próbować, szczególnie w dzieciństwie, bo ojciec nie zawsze dawał matce pieniądze na chleb, ale na chałwie i pomarańczach, jak były dostawy, nie oszczędzał i przyznaje, że były to pomarańcze. Te tutaj zupełnie ich nie przypominają. Po pierwsze są zielone, a nie pomarańczowe! Są mniej słodkie i strasznie włókniste. Nie daje się ich jeść. Wysysam sok (bardzo dobry!) i wyrzucam suchy, trudno jadalny miąższ. Po zakupach jadę na misję. Jest 4 km od głównej drogi. Nie mam wyjścia, bardzo teraz potrzebuję gości w dobrych warunkach, by wszystko wyprać i wyczyścić z błota. Szczęście mi sprzyja i na misji witają mnie ciepło. Dostaję pokój z prysznicem i toaletą tuż obok. W pokoju łóżko z pościelą i moskitierą. Jeszcze nie zdążam się dobrze rozpakować, gdy wołają mnie na kolację do sąsiedniego budynku. I jak to porównać do poprzedniego noclegu w opuszczonej



Szyld misji i niezwykły totem w Zemio. Nigdzie indziej czegoś podobnego nie widziałem





*Parking w Dżubie,
gdzie szukałem
transportu na północ*

*Jak zobaczyłem stan
drogi do Rumbeku,
to przestałem żałować,
że moja rowerowa
eskapada już się
skończyła*



pożyczony egzemplarz gazety „White Nile”. Dołącza do mnie Nowozelandczyk. Po południu jest potwierdzenie, że jest transport do Wau. Cena 15 funtów. Chyba umiarkowana za prawie 900 km kiepską drogą. Jedziemy w dwa samochody. Ładujemy się do jednego z nich.

Początkowo droga jest bardzo dobra i jeszcze za dnia przejeżdżamy 100 km. Zatrzymujemy się na nocleg. W Afryce lepiej nie jeździć po

nocy, bo na drodze czyhają różne niespodzianki. Śpię w samochodzie. Dosłownie, bo nasza ciężarówka to duża wywrotka. Ma co najmniej 8 ton ładowności. My i nasze bagaże to jedyny ładunek. Spanie w skrzyni ładunkowej ma tę zaletę, że nie podpełźnie do posłania żadne świnstwo. Tylko gdyby padało, to obudzilibyśmy się w basenie. Ale nie padało.

Podróż wywrotką nie jest zbyt wygodna. Bagaże fruwają na wybojach, a my razem z nimi. Rower jakoś uwiązałem, boby się chyba połamał. W czasie jazdy cały czas stoję, trzymając się kurczowo burty. Co z tego, że nie ma ładunku. Chyba każdy ładunek byłby lepszy. Od razu gryzę się w język za takie słowa. Przecież widziałem tysiące ciężarówek tak wyładowanych, że zachodziłem w głowę, jak pasażerowie się jeszcze utrzymują na takiej górze pakunków. Nie wykluczam, że są wypadki i ludzie spadają w czasie jazdy.

30.09, wtorek

Ruszamy, gdy jest jeszcze ciemno. Po świcie podziwiam ładne widoki na wzgórza. W Mundri, 300 km od Dżuby, doganiamy dwie lory (ciężarówky, tiry), które wyjechały wcześniej i jedziemy razem w cztery samochody. Od krzyżówki na Yambio droga jest zdecydowanie gorsza. Dziura w dziurę dziurę pogania, że użyję porównania z dzieciństwa. Nie ma niebezpieczeństwa, że utknemy, ale trzęsie potwornie. Najbardziej bołą ręce od kurczowego trzymania się burty skrzyni ładunkowej wywrotki. Jedziemy z prędkością 20–25 km/h. Szybciej się nie da. Im dalej, tym droga gorsza, wyboje potworne. Patrzę na drogę i myślę, że byłoby to niezłe wyzwanie dla mnie na rowerze. Ale rower musiałby być w perfekcyjnym stanie. I ja też. Więc to niemożliwe...

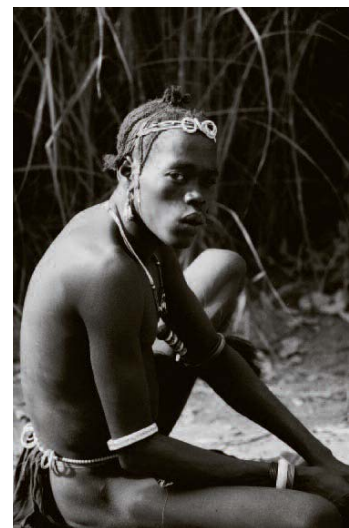
Bardzo mało wiosek. Jak są, to liczą niewiele chat i wyglądają bardzo biednie. Jedziemy przez dość suche i gęste zarośla. Typowy busz. Śpimy przy posterunku policji 45 km przed Rumbekiem. Przejechaliśmy ponad 200 km tą potworną drogą.

01.10, środa

Rano jesteśmy w Rumbeku. Tylko 10 minut postoj, a to największa miejscowość w drodze do Wau. Ciekawe miasteczko. Na ulicach widzę wielu Dinków. Mężczyźni z dzidami, kobiety w sukienkach, czasem mini. Noszą bransolety na nogach i rękach. Żelazo, miedź, kość słoniowa, cienki drut, nie wiem, z jakiego metalu. Pewnie też miedziany albo stalowy. Zawsze mają też coś w uchu dla ozdoby. Wyglądają bardzo egzotycznie i dominują na ulicy. Oczywiście są też mieszkańcy ubrani po europejsku, jak w innych do tej pory odwiedzanych przeze mnie miejscowościach. Przed odjazdem natykam się na białą kobietę. Rozmawiamy sympatycznie dosłownie moment. Jest Angielką, uczę w szkole angielskiego na kontrakcie Peace Corps albo podobnej angielskiej organizacji, tego nie załapałem. Zaprasza w gościnę, ale kierowca zapala silnik i ruszamy. Nawet przez moment myślę, by wysiąść, tak było tu egzotycznie i miałbym gdzie się zatrzymać, ale zanim ochłonąłem, już byliśmy za Rumbek. Do Wau zostało niecałe 300 km...

Śpimy w wiosce Tonj, 75 mil za Rumbekiem. Tak mówi kierowca. Z mapy wynika, że to trochę więcej... 155 km. Według mapy do Wau zostało 108 km. Droga była bardzo błotnista. Kilometrami ciągnęła się wąską groblą przez bagna. Było bardzo mokro. To już koniec pory deszczowej. W lipcu, sierpniu musiało być jeszcze gorzej. Rower pchałbym tu kilometrami. Patrząc, jaką drogą jedziemy, powoli przestaję żałować, że nie wysiadłem w Rumbeku. Nie dałbym rady. Czy złapałbym potem inny samochód?

*Portrety
Dinków z Rumbeku*





*Statek kursujący
pomiędzy Kurajmą
i Dongolą – na odcinku
Nilu między III
i IV Kataraktą*



*Przystanek
w Al-Ghaddarze.
Tu wysiadłem,
by zwiedzić
wykopaliska
w Starej Dongoli*



*Pasażerowie
z bagażami
czekają na statek*



*Pompy
nawadniające
przybrzeżne uprawy*

*Ruiny
Starej Dongoli*

09.11, niedziela

Stara Dongola to Dunkula al-Adżuz. Dwie świątynie, chrześcijańska katedra i opuszczona niedawno muzułmańska wioska. Chodzę po glinianych skorupach naczyń, tak jest ich tu dużo.

10.11, poniedziałek

Rano jeszcze raz idę pospacerować i pooglądać ruiny, a w południe przepiram się faluką na drugi brzeg. Nubijczycy są nieprawdopodobnie gościnni i znów jestem zaproszony na obiad. Jedyne, czym się mogę odwzajemnić, to obietnica przysłania zdjęcia. Mam jeszcze czarno-biały film i pstrykam gospodarzowi portret. Dostaję adres: Mahdżub Imam Hilali, Al-Ghaddar, Dongola Al Ajoz via Karima, Northern Province, Sudan. Siedzę od czwartej po południu i czekam. Po obiedzie o ósmej wieczorem Mahdżub załatwia mi wygodny przejazd samochodem do Dongoli. Kosztuje mnie on 3 funty. Podróż statkiem była zdecydowanie tańsza, ale i dłuższa, bo teraz 100 km przejeżdżam w kilka godzin i o drugiej w nocy jestem w Dongoli. Śpię przy przystani.